Nr. 38. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty:
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 16 Września 1871

Redakcja
przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

LIST

Doktora *Henryka Levittoux* do Doktora *Karola Libelta*

w odpowiedzi na jego artykuł o „Drugiém wydaniu

FILOZOFJI NATURY

w języku polskim, Warszawa 1869“, zamieszczony w numerach 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28 i 29

Tygodnika Wielkopolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Co do faktu, jakobym, również zdaniem Pańskiém, uważał: „stworzenie ziemi i ciał niebieskich za odwieczne jak Bóg, a co do istot organicznych, że tylko zarodek tych ostatnich był odwiecznie w Bogu, lecz że mają swój wybitny początek w czasie, że więc przypuszczam odrazowe stworzenie wszystkich ciał niebieskich a późniéjsze stworzenia istot organicznych,“ (str. 278. No. 23) winienem objaśnić, że tak ziemię, jak słońca, jak istoty organiczne, jak całą kreację, tak zwaną martwą jak i organiczną uważam za istniejącą od wieków w Bogu i za mającą swój wybitny początek z Woli Najwyższéj w czasie, kiedy to Mądrość Najwyższa uznała za potrzebne; że więc zarodek wspólnéj kreacji tak organicznéj jak i nieorganicznéj, Atom żywy, czyli najmniejsza cząstka niepodzielna siły fizycznéj stał się od razu z Boga i przez Boga i że ten Atom, czyli siła fizyczna (ilość tu nie przesądza jakości) przeobrażając się tak w sobie, jak w materji będącéj jéj metamorfozą, w drodze naprzód szybkiego, a następnie powolnego, a ciągłego rozwoju, zawsze z Woli i Mądrości Boga w niéj utajonego, w nią dla zmysłów naszych przeobrażonego, w niéj wyrażonego, jéj treścią i duszą będącego, w niéj działającego, wytworzyła w téj tajemnéj drodze kreację taką, jaką dziś oglądamy. — Czy te przeobrażenia Atomu żywego, morfo-plastycznego, Boga w sobie kryjącego i samego dla zmysłów naszych ukrytego, zdolnego przybrać najróżnorodniejsze formy natury tak zwanéj martwéj, jak i żywéj, czy mówię te metamorfozy elementu natury fizycznéj w świat organiczny i martwym zwany, trwały wieki wieków, lata czy godziny? O ile wnosić można z tego co po dziś dzień Bóg nam w téj mierze, jako klucz do rozwiązania tajemnic natury zostawił, w pracy mojéj podałem.

— Piszesz Pan daléj, że pojąć nie możesz stanu pośredniego między człowiekiem a małpą i dodajesz w innym ustępie rozbioru krytycznego mojéj pracy, że napisawszy wiele na korzyść łączności zwierząt z człowiekiem, nie daję jednak w wybitnych wyrazach różnicy tego ostatniego od zwierząt. — Jeżeli jednak powiadam w pracy mojéj: że człowiek pomimo różnicę formy, która jest rzeczą względną, (gdyż można być człowiekiem-rybą nie będąc do żadnego szczupaka ani sandacza podobnym), pomijając wybrane inteligencje jak Mojżesz, Homer, Sokrates, Dante, Newton itp. nie wiele się różni od człowieka epoki krzemiennéj, lub żelaznéj czyli trzeciorzędowéj, czego mamy po dziś dzień dowód, pomijając mieszkańców Australji, na prostaczkach naszych wiosek, a czego niestety! wypadki we Francji w roku 1870 i 1871 dały nam zawstydzające wiek nasz stwierdzenie; jeżeli człowiek, fizjo-

logicznie i filozoficznie mówiąc, w drodze rozwoju swego w łonie matki w ciągu 270 dni przechodzi po dziś dzień różne stany roślinności i zwierzęcości, pomimo, że od pierwszéj chwili swego poczęcia jest człowiekiem; *namaszczenie, które każda istota organiczna* na początku *odebrała, do którego godności jednak nie doszła dla wstrzymujących rozwój jéj, nieznanych nam okoliczności i warunków; jeżeli człowiek po dziś dzień, od chwili przyjścia na świat z czołgającego się po ziemi jak zwierzę niemowlęcia, w drodze ciągłego rozwoju organicznego, w ślad za którym idzie i rozwój duchowy* i vice versa *zostaje nakoniec zaledwie jeden na miljon człowiekiem;* jeżeli człowiek wstrzymany w drodze swego rozwoju w łonie matki dla pewnych warunków anormalnych, po dziś dzień przychodzi na świat potworem niższym od wyższéj organizacji zwierząt, *nie przestając być człowiekiem; jeżeli człowiek po dziś dzień w skutku chorób jak katalepsja, apoplexja mózgu, obłąkanie itp. staje się człowiekiem-rośliną, to jest: człowiekiem z formą tylko człowieka, który trawi, oddycha i w którym soki krążą jak w roślinie, nieprzestajac w duchu religji być człowiekiem; jeżeli codziennie patrząc na ulepszenia rass roślin i zwierząt w granicach danego gatunku, nie możemy pojąć ewolucji rodzajów i familji pomimo, że natura uwieczniła ślady tych cudów w przemianie liszki (robaka) na motyla (owada), dla tego tylko, że albo działając powoli w długim szeregu wieków nie pozwala nam być naocznymi świadkami przemian wszystkich rodzajów istot, lub, że kapitalnych swych ewolucji dokonała w opoce pierwotnéj stworzenia na zawsze dla nas zamkniętéj;* nie sądzę, ażeby stan prostactwa duchowego, ażeby stan braku rozwoju organicznego i duchowego, który postawiłem w epoce przedpotopowéj na granicy między stanem najdoskonalszych zwierząt a stanem człowieka moralnego i uznającego się w Bogu, *który niezaprzecza, jak to widzimy na czaszce znalezionéj w Neanderthal przez prof. Fuhlrott, formy człowieka i małpy, a który nazwałem stanem człowieka-małpy,* zostawiał tak wiele do zrozumienia go i nie powinien był Pana od czynienia mi podobnego zarzutu w tak poważnéj i *uczonéj* Jego pracy powstrzymać? Że nie odseperowałem, zdaniem Pańskiém, człowieka od zwierząt w pracy mojéj, pytam, czy przyznanie wyłączne człowiekowi moralności i władzy podniesienia się do Stwórcy nie zwalnia mnie raz na zawsze od podobnego zarzutu? Mówię, że zwierzęta mają duszę, lecz dodaję, że mniéj rozwiniętą jak człowiek. Dowodzę faktami naukowemi na doświadczeniach w fizjologji czerpanych, że zwierzęta są niższemi *braćmi* naszymi, że jak człowiek z prostaczka został Newtonem, tak i maluczkie stworzenia mogły zostać prostaczkami zanim po laury Koperników sięgnęły... Czyżby jednak praca moja naukowa miała tyle tylko zasługi i gruntu w oczach Pańskich, ile jéj mają idee i popędy zkądinąd chwalebne towarzystw opieki nad zwierzętami, których pojęcia kładziesz Pan na równi z wymotywowanemi dowodami opartemi na nauce?

Twierdzisz Pan następnie w jednym z ustępów swéj krytyki: „że się popieram zdaniem Profesora fizjologii Ogólnéj w Kolegium Paryzkiém, Klaudjusza Bernarda.“ (No. 21, str. 253). Otóż, co do przypisanego mi przez Pana popierania się zdaniem tego uczonego fizjologa w kwestji: „że intelligencja, któréj fenomena cechują najwyższy szczyt życia, istnieje poza obrębem istot nią obdarzonych, że istnieje w ogólnéj harmonji i w ogólnych prawach wszechświata, że jedna jest fizyka ogólna i jedna chemja ogólna“ i jakoby zdanie to „w niepotrzebne mnie zdumienie wprawiło,“ to co do pierwszego punktu, nie mogłem popierać się zdaniem Bernarda, który w rok dopiéro po wyjściu *pierwszego wydania* pracy mojéj „*Zarys filozofji natury*“ *w któréj myśl tę sformułowałem, i do ostatecznych konsekwencji doprowadziłem,* idee swoje w raporcie do ministra oświecenia publicznemi uczynił. — Jeżeli znowu zdumiony byłem słowami tego uczonego, to nie dla tego, że je wypowiedział, lecz, że będąc tak blisko ostatecznéj, zdaniem mojém, konsekwencji logicznéj tak wielkiéj myśli, nierozwiązaną ją zostawił. — „Ze zdumieniem“ wyraźnie mówię, „czytałem myśl tę w raporcie Klaudjusza Bernarda sądząc, że ją do ostatecznych doprowadzi konsekwencji, lecz zawiodłem się itd. itd.“ (str. 223 Filozofji Natury 2gie wyd. polskie). Jakoż Kl. Bernard wyraźnie mówi w swoim raporcie: że oburza się instynktowo na myśl, ażeby materja była obdarzona własnością myśli i czucia“ mówi, jak to już powiedziałem: „że jedna jest fizyka i chemja ogólna“ a depcze materję prostą, która właśnie w substancji szaréj mózgu według mojego poglądu takim nieraz blaskiem myśli jaśnieje, — podziwia materję w pewny sposób w mózgu ułożoną, gardzi zaś samą materją; a to dla tego: że nie zna jéj pokrewieństwa z siłą, gdyż nie wie, że słowo, czyli materja jest siłą, czyli ideą, czyli siłą spirytualną wyrażoną, że materja jest przeobrażeniem się, wyrażeniem się siły w pewnym stosunku saméj w sobie, że jest dalszym rozwojem siły na drodze jéj metamorfozy, że materja i siła są nieprzerwaném pasmem jedności, że materja prosta jest organizmem dla sił prostych, jak organizm mózgu jest organizmem dla władz intelligencji, że eter substancji szaréj mózgu wzięty w chwili wyrażenia się go w słowo jest łącznikiem ducha czystego z ciałem a więc z materją i daje właśnie jako materja nieważka, a więc jako materja, fenomena myśli i stanowi intelligencję, stanowi duszę; że więc materja z pewnego punktu widziana, to jest będąc w stanie nieważkim, czyli w stanie fizycznéj i kosmicznéj, podniesionéj w drodze swego rozwoju do potęgi najwyższéj, jako siła życia, myśli czuje i rozumie i stanowi duszę naszą indywidualną, któréj dopiéro duszą, jak mówię, jest duch esprit supérieur Fenelona [1]) czyli Bóg.

Materja więc, jak ztąd Pan widzi i czego nikt przedemną nie powiedział, uważana w pewnym stanie swojego bytu myśli, czuje w mózgu i rozumie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Fénélon uważa wprost duszę naszą za Boga. „La raison supérieure qui réside dans l'homme, est Dieux même.“ Fénélon: De l'existence de Dieu t. I. p. 93.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

W lekkomyślności swojéj, któréj tym razem przychodził w pomoc kłopot prawdziwie rozpaczliwy, Oktaw wkrótce przyszedł do przekonania, że to rzecz raczéj śmieszna niż niebezpieczna. Wszakże miał zamiary niewinne, wszakże w stosunku tak dobrym był do hrabiny Adeli, wszakże za trzy miesiące pewien był wygranego

procesu! Wszystkie te uwagi przyszły w pomoc lekkomyślności, choć niezdołały stłumić zupełnie tajemniczych jakichś a przykrych głosów serca...

Podczas gdy Oktaw tak rozmyślał, Sauger bacznie śledził wyraz jego fizjonomji. Brzydką swą twarz, która w téj chwili jeszcze wstrętniejszy przybrała wyraz, przekrzywił nieco na bok i z uśmiechem pełnym jakiegoś demonicznego zadowolenia patrzył na młodego człowieka. Sauger zacierał ręce, jakby z radości, że Oktaw pląta się w rozstawione sieci, że za chwilkę ugrzęźnie w nich cały, honorem, imieniem, sumieniem, że zdanym mu będzie na łaskę lub niełaskę, jako nowa, bezbronna już ofiara...

Gdy Oktaw wahając się jeszcze nieco zwrócił się do Saugera, lichwiarz ten już trzymał w ręku blankiet wexlowy i rzekł najprzyjemniejszym tonem, na jaki zdobyć się tylko mogła krtań jego:

— Oto blankiet, panie hrabio. Za godzinę będę tu z pieniędzmi. Dawny dług wynosi 2,000, nowy wyniesie 1,000, Zinsen, Geldbeschaffungskosten, ein Cadeau für mich i inne drobne wydatki trzeba doliczyć. Proszę wypisać sumę 6,000 złr. płatną za trzy miesiące...

— Ależ panie Sauger! Sześć tysięcy!!

— Pan hrabia sam procent oznaczył — odparł Sauger a na twarz jego wystąpił wyraz jak stal twardy i zimny. — A zresztą, ja chętnie zrzekam się całego interesu. Proszę się namyślić... Za godzinę! Adieu, Herr Graf!

I Sauger wysunął się z pokoju.

Po jego odejściu Oktaw długo bił się z myślami. Na stoliku leżał podłużny, siny papiér zostawiony przez Saugera. Ile razy Oktaw spojrzał na ten złowrogi skrawek papiéru, przechodził go dreszcz mimo całéj lekkomyślności...

Kilka razy chwytał za pióro i kilka razy odrzucał je ze wstrętem... Siny skrawek papiéru zdawał się zmieniać w jadowitą, obrzydliwą żmiję, któréj Oktaw dotknąć się nie czuł odwagi... Wśród tego wahania się minęła godzina cała. Na schodach dał się słyszeć cichy, jakby przyczajony krok Saugera. Ten chód dziwny, charakterystyczny, znanym był dobrze Oktawowi. Choć ostrożny, stłumiony, niejako skradający się, krok ten wprawiał już przecież nieraz w dziwne rozdrażnienie Oktawa...

Chód ten zwykł się był odzywać w jakiś dziwnie nieopisany sposób, jak zbliżające się nieszczęście. Mimo, że był tak cichy, słychać go było z daleka... Oktaw nieraz mając u siebie huczne koło przyjaciół, słyszał i rozpoznawał natychmiast krok Saugera na schodach. Nieregularnym swym rytmem wybijał się on w uszach dłużnika z pośród strzelania szampanowych korków, z pośród wesołego gwaru towarzyszy, jak krok upiora z jakiéj legendy zamkowéj...

Na odgłos kroku tego Oktaw szybko zbliżył się do stolika. Wietrzyk wywołany tém szybkiém poruszeniem poruszył wexel leżący na stole, który zwinął się i zadrgał jak gad żyjący. Nim u drzwi dało się słyszeć ciche, urywane pukanie Saugera, Oktaw już napisał wexel. Na spodzie obok nazwiska Jarskiego znalazł się tym samym niezmienionym duktem ale drżącą ręką położony podpis hr. Adeli Rokickiéj...

Sauger właśnie wszedł do pokoju. Spojrzał na wypełniony blankiet wexlowy i po wąziutkich, zsiniałych jego ustach przebiegł uśmiech szkaradny .. W téjże chwili jednak przybrał minę obojętną i ozwał się z cicha:

— Also, Herr Graf?...

Oktaw milcząc podał mu papiér. Sauger spojrzał nań uważnie, a potém schował szybko do dużego pularesu, a pulares wsunął do kieszeni jak otchłań głębokiéj. W drugiéj ręce trzymał już pęk brudnych banknotów, które podał Oktawowi. Oktaw przeliczył pieniądze i zrobił uwagę, że kilkudziesięciu złr. braknie.

— Nie mam więcéj... — odparł obojętnie i sucho Sauger.

— A teraz — dodał po chwili — proszę pana pamiętać dobrze o terminie. Czekać bym nie mógł ani chwili jednéj i spodziewam się, że nie będzie nawet tego potrzeby.

Rzekłszy to tonem poważnym i przenikającym Sauger wyciągnął ku Jarskiemu dłoń swą, tak jak to był uczynił przy powitaniu...

Tym razem Oktaw przemógł wstręt i upokorzenie i podał palce do uścisku... Sauger zatrzymał dłoń Oktawa w swéj ręce, jakby chciał przedłużyć swój tryumf, i uśmiechnął się z gryzącém szyderstwem...

— Do widzenia się tedy, panie hrabio — rzekł Sauger ściskając i potrząsając dłoń Oktawa z impertynencką swobodą — do widzenia się za trzy miesiące!

Oktaw wydarł rękę z szponów Saugera, i mimowolnie otarł ją o surdut, jakby czuł, że dłoń jego splamioną dziś została podwójnie, i czynem niegodnym i uściskiem brudnéj, drapieżnéj ręki Shylocka...

Uważał to Sauger, ale mimo to opuścił pomieszkanie Oktawa w najlepszym humorze. Idąc szybko ulicą, przyczém trzymał się kamienic, po pod które przesuwał się, jakby chciał skradać się do czegoś, uśmiechał się z jadowitém zadowoleniem i od czasu do czasu zacierał ręce... Kontent był niezmiernie z zawartego interesu, gdyż dogadzał on jego demonicznemu usposobieniu, którego charakterystykę już podaliśmy czytelnikom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

I.

Teorje i pamfleta stronników Reformy.

(Ciąg dalszy.)

§. XVI.

Studja klasycznéj starożytności, przykłady biblijne, prześladowania religijne oddanych sprawie ludu protestantów, wywołały ten szereg gorących pamfletów politycznych, który otworzymy przeglądem utworu jednego z najznakomitszych prawników XVI wieku Franciszka Hottomana p. t. „Franco-Gallia“ [1].

Traktat ten nie jest dziełem czysto politycznem, lecz pewnym rodzajem studjów nad początkami monar-

[1] Aug. Thierry w „Consid. sur l'hist. de France“ str. 37 oddaje dziełu temu wielkie pochwały i świadczy iż miało wielkie powodzenie, a sława jego trwała jeszcze w XVIII wieku.

Teissier mówi, iż dzieło to niegodne jest uczciwego Francuza, patrz de Thou Lib. LVII, p. 49 ad ann. 1573. — Teissier w Additions aux Eloges de Mr. de Thou t. II, p. 139.

chji francuzkiéj i jéj zasadniczemi prawami, interpretacja których przez Hottomana polega jednak na donośnych, głęboko pomyślanych zasadach politycznych. Monarchja francuzka, twierdzi Hottoman, powstała sposobem elekcyjnym, znanym od najdawniejszych czasów w lasach germańskich, który to zwyczaj przyjęli Frankowie. Ponieważ zaś, mówi on, królowie nasi panowali z wyboru nie zaś przeważnie z prawa dziedzicznego, to ten stary zwyczaj wyboru musi zawierać w sobie również zwyczaj składania z tronu panującego z wyboru monarchy[2]). Inaczéj bowiem, mówi on, przodkowie nasi celujący loiką, nie poddaliby się z pewnością dobrowolnie rządom absolutnym. — Postawiwszy taki rzucający się w oczy paradoxon, zapytuje się Hottoman, jaki rząd jest najlepszy? „Ten, odpowiada on, który łączy w sobie i miarkuje potrójny element królewszczyzny, arystokracji i ludowładztwa. Monarchizm i ludowładztwo są sobie z natury przeciwne, potrzeba zatém między niemi pośrednika, któryby miał w naturze swojéj coś z monarchizmu i z ludu. Pośrednikiem takim jest arystokracja, krwią i wspaniałością połączona z tronem, klientelą zaś i zależnością od tronu pokrewna ludowi.“ Przeczytawszy po raz pierwszy te powyżéj textualnie przytoczone słowa Hottomana, osłupieliśmy ze zdumienia. Wszakże to ni mniéj ni więcéj jak tylko zasada konstytucji angielskiéj o któréj Hottoman piszący w 1570 r. ze czcią się wyraża. Wszakże to jest w jednym paragrafie streszczona największa prawda polityczna którą Montesquieu w XII i XIII księdze „Esprit des Lois“ rozczynił i za nielogiczne przeprowadzenie wielkiéj doczekał się sławy pierwszego badacza konstutucji angielskiéj, którą Hottoman 200 lat przed nim znał nierównie lepiéj. Jemu to zatém, Hottomanowi, należy się zasługa oryginalnego przeniesienia na kontynent zapatrywań się angielskich na system władz, tak jak Bodinowi a nie Montesquiemu należy się pierwsze szersze postawienie teorji o wpływie klimatu na stosunki polityczne. — Hottoman prawnik i publicysta XVI wieku jest z poczucia głębokiego zasady, arystokratą, stanowisko jego jednak nie jest tym jakie zniszczona ówczesna arystokracja zajmowała, nie jest on również bezmyślnym arogantem lub posłusznym sługą silnego bezprawia — czém jest w naszych czasach brzydki karzeł wyrodnéj lub kupnéj arystokracji — bynajmniéj, stanowisko Hottomana da się raczéj porównać z arystodjakonicznym Torysem, wyszlachetnionym codziennie używotnianą rzeczywistéj arystokracji rzeczywistą zasadą „noblesse oblige.“ — Hottoman odzywa się zawsze lekceważąco a nawet z pogardą o władzy królewskiéj, nie lubi on również mieszczaństwa i parlamentów, widzi w nich bowiem (może słusznie) uzurpatorów całéj zwierzchności stanów generalnych, nieprzyjaciół króla i arystokracji. — Panowanie arystokracji jest celem Hottomana zabiegów, państwo bowiem, mówi on, żyje i trwa tylko mocą rozumu i czynów arystokratycznych. Nic słuszniejszego, lecz Hottoman idzie za daleko, lekceważąc dwa inne czynniki polityczne i stawiając na piedestale ligę dobra publicznego zawiązaną przeciw Ludwikowi XI. — W ogóle dzieło Hottomana ze względu na kierunek i umiarkowanie jest jedyne i żywo odbija na tle licznych pamfletów, schlebiających niezmordowanie surowéj sile ludu. —

§. XVII.

W rzędzie takich pism odznacza się szczególniéj pamflet Huberta Languetta p. t. „Vindiciae contra tyrannos [1]).“

W przedmowie zaraz określa autor przedmiot którym zajmować się będzie i metodę swoją. Co do przedmiotu, to określa go w następujący sposób:

„Odniosę władzę monarchiczną i prawa ludu do pierwotnych źródeł, zamknę to wszystko w stałych granicach, tak aby dobry rząd przejść ich nie był w stanie.“

Stawiając tak twarde zadanie, obiecuje autor rozwiązać go równie ostrą metodą:

„Będę używał metody geometrycznéj, która z punktu przechodzi do linji, z linji do powierzchni, a z téj do ciała, czyli z prostego do złożonego, daléj do faktów, a z tych do praw ogólnych.“

Przegląd dzieła pokaże nam czy i jak dalece założenie swoje autor przeprowadzić zdołał.

Languett stawia i z kolei rozbiera trzy następujące pytania: 1) Czy poddani winni są posłuszeństwo panującemu, w razie jeżeli ten rozkazuje coś przeciwnego prawu Boga? 2) Czy wolno oprzeć się podobnemu rozkazowi? 3) Czy wolno jest stawić opór panującemu, jeżeli on ciemięży państwo całe?

1szy punkt stawia prawo nieposłuszeństwa uznane już przez apostołów; 2gi prawo oporu w rzeczach czysto

---

Bloeclerus wykazuje falsze historyczne, które Hottman przywodzi na poparcie swych twierdzeń, iż Francja była monarchją obieralną. — Bougars mówi, iż Hottman pisze z żółcią i li tylko w interesie protestantów, że na miejsce monarchji stawia anarchję, że burzy zamiast poprawiać — patrz Lettres de Bougars p. 651 — ed. Hagsta z 1695 r.

Bayle jest bardzo wyrozumiały i chociaż, mówi on, Hottman ostrzy broń dla Bellarmina i buduje argumenta dla Ligi, to robi to wszystko z dobrą wiarą i z passji — patrz Dict. t. II. art. Hottman str. 816, nota h. — Fr. Hottman pochodził z familji szląskiéj i ur. się w Paryżu 23 sierpnia 1524. W 18 roku życia uzyskał godność Dra praw w Orleanie, a w 23 roku wykładał już w Sorbonnie (patrz Listy Pasquiera do Loysela). Ojciec jego, radca parlamentu, nie dawał mu żadnéj pomocy, ztąd też młody Hottman nie mając z czego żyć, nie znosząc intryg dworskich, wydalił się do Ljonu, ztąd zaś prześladowany za religję uciekł do Lozanny, gdzie się ożenił z Klaudją Aubelin, również prześladowaną za religję. Nauka jego zjednała mu tak wielką sławę, iż wiele uniwersytetów i panujących nawet książąt starało się go pozyskać. Był 2 razy posłem królowéj matki i książąt krwi na sejm frankfurtski, uczył prawa w Strassburgu, Walencji i Bourges, ztąd uszedłszy szczęśliwie z rzezi w 1572 r. udał się do Genewy, a następnie do Bazylei, gdzie umarł w 1590 r. 17 lutego. — Oprócz „Franco-Gallia“ napisał on wiele dzieł, jak n. p.: De gradibus Cognationis. — Ad tit. Instit. de accionibus. — De Consolatione. — Ad Remundum Rufum defensorem Rom. Pont. contra Car. Molinaeum, de statu prim. Eccl. etc. (pod pseudonymem Franciszka de Villiers). — Nullitatis protestatio, adv. formulam concordiae (pod pseudonymem Jana Pelmeriusa). — Brutus fulmen, gdzie zbija bullę Syxtusa V z 1585 r. przeciw Henrykowi IV i księciu de Condé — Anti Tribonianus i wiele innych — patrz „Vita Hottomani“ przez Piotra Neveleta, pana na Osche, adwokata przy parlamencie w Paryżu.

[2]) Populum non modo creandi, verum etiam abdicandi regis potestatem sibi omnem reservasse docuimus. — „Franco-Gallia“ cap 10, porównaj dla dalszych części cap. 13, 15, 18, 20.

[1]) Vindiciae contra tyrannos, sive de principis in populum, populique in principem legitima potestate — Stephano Iunio Bruto Celta auctore — Edynburg i Bazylea 1579 r. — Dzieło to było przypisywane wielu innym autorom, mianowicie: Bezie i Duplessy-Mornay. — Bayle twierdzi słusznie, iż autorem rzeczywistym był przyjaciel Kawalera Filipa Sydnej „Humbert Languett.“ — Urodzony w Viteaux w Burgundji 1518 r. oddawał się naukom prawa we Francji, Niemczech i Włoszech. W r. 1548 uzyskał stopień Dra w Padwie i wrócił do Niemiec gdzie żył w przyjaźni z Melanchtonem i Camerariusem. W r. 1565 wstąpił w służbę elektora saskiego i był jego wysłańcem na sejm w Spirze 1568 r. a potém do Karola IX. Po nocy św. Bartłomieja wstąpił w służbę księcia Oranji i był mu bardzo użyteczny — umarł w Antwerpji 1581 r. 30 września. Vindiciae przełożył na francuzki Fr. Etienne p. t. „De la puiss. légitime du prince sur le peuple“ — Paryż 1581 r. — Biografję zaś ułożył Fillibert de Lamarre, Halla 1700 r. — Patrz Bayle — Dict. art. Languet i Hist. de la Phil. mor. et pol. p. Janeta t. II, cap. 2. Hallam l. c. etc.

religijnych; 3ci zaś prawo oporu ze stanowiska polityki. —

Rozwiązując te trzy powyższe pytania stawia Languett nową zupełnie teorję ugody (contractus), teorję, która rozbierana późniéj przez Hobbesa i Rousseau tak różne przechodziła koleje.

Dotąd znane były tylko dwie teorje wyprowadzające w różny sposób początek władzy. Podług jednéj z nich władza cywilna pochodzi z władzy duchownéj i przed tą jest odpowiedzialną, według zaś drugiéj władza cywilna jest ustanowioną wprost przez Boga, i przed Nim tylko zdaje rachunek ze swych czynności[1]). Z obu tych teorji, mianowicie zaś z drugiéj powstało przekonanie, że panujący prawom poddany nie jest (w myśl: princeps legibus solutus est) a w logicznym następstwie uprawnienie absolutyzmu i nierozdzielnéj z nim tyranji.

Hubert Languett stawiając nową teorję ugody, podminowuje dotychczasowe zapatrywania się polityczne i daje nauce nowy kierunek.

Wspierając się na przykładach i argumentach historycznych i biblijnych stawia on podwójną ugodę:

1) Między Bogiem panującym i ludem;

2) Zupełnie oddzielną ugodę między ludem i panującym.

„Tak było na początku według świadectwa pisma świętego, mówi on. Raz ustanowiony punkt istnieć nie przestał, warunki zostały te same, z różnicą tylko, iż ewangelja zastąpioną została prawem. Panujący ustanowiony na mocy ugody z Bogiem jest Jego wazalem i według praw Jego postępować winien, inaczéj lud słuchać go nie powinien, panujący bowiem rządzi z woli Boga, słuchać go zatém należy dla Boga, nigdy zaś przeciw Bogu.“ — Oto jest odpowiedź Languetta na kwestję posłuszeństwa! —

Punkt 2gi, t. j. kwestja oporu, również twierdząco jest rozwiązaną. „Cóż bowiem, mówi autor, stanie się z ugodą, jeżeli lud da się powodować bezwarunkowo woli panującego przeciwnéj prawom wolności ludu a zatém prawom i woli Boga. W tym razie samo nieposłuszeństwo wystarczyć nie może, lud ma prawo i obowiązek oprzeć się stanowczo, inaczéj popadnie w zgubę.“ Oto jest Languettowskie prawo oporu z bronią w ręku, znane w starożytności a zapomniane w wiekach średnich. W wiekach średnich papież rozwiązywał lud od wykonanéj przysięgi, teraz rozwiązuje się on sam. Kontraktował on bowiem z Bogiem, jest stroną i poręczycielem ugody z królem, pactum zostało zgwałcone, lud zatém ma rozwiązane sumienie i ręce! Zasada tak postawiona prowadzi najkrótszą drogą chaosu do rewolucji. Tu jednak zatrzymuje się Languett i stara się umiarkować własne twierdzenie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Patrz Część wstępną tego dzieła i cytowane źródła.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Sosnowski Max. Edw.: Kilka poezji. Poznań, 1871. str. 80.
Leśniewski Jan: Próbki. Kraków, 1871. str. 94.

Dziwnie potężną jest siła poezji — czyja pierś wezbrana nawałem prawdziwych uczuć, raz je przyoblecze w słowa i w uroczym kształcie pieśni pośle do ludzi, temu już nie rozstać się z nią do zgonu. Czy ogół dzieci jego ducha przyjmie zachętą i oklaskiem, lub rzuci mu w twarz obojętnością i szyderstwem, czy mu skronie otoczy wieńcem laurowym lub cierniową koroną — tryumfator czy męczennik, wierny swemu posłannictwu odpychając światowe pokusy, kroczyć będzie po raz wytkniętéj drodze, dopóki mu tchu stanie, dopóki duch uwolniony z więzów ciała, nie zakończy kalwaryjskiéj pielgrzymki żywota. Daremnieby nam ktoś, chcąc zbić powyższe słowa, wskazywał owych poetów, jeśli ich się tak nazwać godzi, co to spłodziwszy pewną ilość wierszowanych utworów nie bez poetyckiego ognia i zalet formy — rzucają pióro, by z tém większą gorliwością budować gorzelnie i uprawiać nie — niwę poezji, lecz postępowego gospodarstwa, co, mówiąc nawiasem, wrogom tak zwanego idealnego polotu, bardzo przypada do smaku. Zarzut ten, powtarzamy, nie zmienia wyrzeczonego co dopiéro zdania, bo ludzie, którzy z taką łatwością przerzucać się mogą z jednego krańca na drugi, postępowaniem swém dowodzą, że nigdy w ich piersi nie gorzał święty ogień natchnienia, że uważali poezję nie za potrzebę serca, tylko za czczą zabawkę. Tym, wedle słów Zygmunta, co jéj nie dochowali, co ją zdradzili zawcześnie, ona sypnie kilka kwiatów na głowę i odwróci się od nich ze wzgardą...

Wpływ poezji daléj jeszcze sięga — nietylko nierozerwalnym węzłem przykuwa do siebie prawdziwych swych wybrańców — lecz nadto potężnym urokiem przyciąga często i tych, co nie obdarzeni od natury poetyckim talentem, choć na inném polu z nierównie większém pracują powodzeniem, jednakże parci jakimś wewnętrznym prądem, od czasu do czasu ubierają swe myśli w mowę bogów. Literatura polska, jak każda inna, dostarcza nam w téj mierze wiele przykładów, że tylko wymienimy Staszyca, Kraszewskiego i Maurycego Dzieduszyckiego, z których każdy w swym rodzaju jest zasłużonym i uzdolnionym pisarzem, a niefortunnie uprawiał dziedzinę poezji. Staszyc miał słabość do przekładania wierszem Homera, najpłodniejszy z współczesnych autorów, Kraszewski, do pseudo-lirycznych i dramatyczno-fantastycznych utworów — hr. Dzieduszycki niedawno jeszcze popisywał się w „Przeglądzie Lwowskim“ arcy-słabym wierszem p. t. Do mojego stolika. Nawet ex-dyktator, generał Ludwik Mierosławski, niezaprzeczenie zdolny strategik i historyk, napisał swego czasu dziwnie niedorzeczny poemat p. t. Żelazna Maryna, któryby jako curiosum przekazać należało potomności...

Świéżo wydany zbiór poezji pana Sosnowskiego nie odpowiada również intelligencji autora. Nie uwłacza to bynajmniéj opinji światłego profesora, lecz nas także nie zwalnia od wydania sprawiedliwego a bezstronnego sądu. Lubo idąc za przykładem Dziennikowego recenzenta, moglibyśmy z łatwością zbyć przegląd przytoczonéj książeczki kilku nic nie mówiącemi frazesami i na komplement zakrawającym ogólnikiem, „że poezje te, acz skromnych rozmiarów dowodzą, że i na niwie wielkopolskiéj, prozaizmem na wskroś przesiąkłéj, myśl poetyczna nadobną umie wdziewać szatę“ — uważamy wszakże za nasz obowiązek wypowiedzieć otwarcie zdanie, sądząc, że sam autor przeniesie prawdę, choćby niepochlebną, nad kłamane pochwały.

Utwory pana S., przeważnie liryczne, mają jednę ogólną wadę — monotonnego sentymentalizmu, przechodzącego niekiedy w trywialność. Przytoczymy jeden wiersz p. t. Szczęście, albowiem z niego sądzić można o wielu doń podobnych, jak Przechadzka — Pusta okolica — Wieczorem i t. p.

Mało do szczęścia potrzeba:
Troszkę serca spokojności,
Troszkę pogodnego nieba,
Troszkę świéżéj zieloności.

Domek mały na ustroniu,
I lasek, chociaż z daleka,
A przed domem niech po błoniu,
Mała, cicha płynie rzeka.

Przed oknem prosta ławeczka,
Z boku niech sobie młyn gwarzy,
W domku młoda kobiéteczka,
Z szczerym uśmiechem na twarzy.

Mój Boże! wszak to tak mało,
Bądź i dla mnie litościwy,
Lecz komu to się dostało,
Niech sobie żyje szczęśliwy.

W wierszu tym przebija chorobliwa, oderwana od życia, a w poezji oklepana i przestarzała idyliczność obok manierowanego obrazu natury. Autor lubuje się w opisach powabów przyrody — na każdéj nieomal stronnicy widzisz i gaj i strumyk, łączkę, młynek, chatkę, zieloność, wiosnę, kwiaty, motyle, słowiki i t. d. Jestto maniera właściwa miernym poetom, którą wszyscy prawdziwi estetycy surowo karcili jako czczą igraszkę jałowéj wyobraźni. Z pisarzy niemieckich mianowicie Winkelmann i Lessing (w Laokoonie), z angielskich Pope[1]) wykazali niestosowność tego sposobu pisania, a z rzymskich już Horacy mówi, że gdy wierszokleta nie umie nic innego, natenczas zaczyna malować gaj, ołtarz, strumyk wijący się przez urocze doliny, huczący potok, tęczę i t. d.:

.................................Lucus et ara Dianae
Et properantis aquae per amoenos ambitus agros,
Aut flumen Rhenum, aut pluvius describitus arcus[2]).

Język p. S. widocznie wyrobiony na dobrych wzorach, jasny i czysty, choć mu brak zwięzłości i ścisłości, staje się tu i owdzie niepoprawnym i zbyt pospolitym:

Tak i ty poeto, co boskim promieniem
Kształcąc naród, ziemszczałe rozniebiałeś dusze...
— Lecz dość na tém!... Myśl moja tutaj inna była,
Właściwie chciałem mówić, że ilekroć razy i t. d.

Rymowanie w ogóle dość gładkie i poprawne, niekiedy mocno kuleje — i tak znachodzą się podobne rymy, jak: wrócę-powrócę[3]); ulecieć-wzlecieć[4]); rozpoznaję-poznaję[5]) i t. p.

Bez porównania większéj wartości od lirycznych, są dydaktyczne wiersze p. S., pomiędzy któremi znajduje się wiele pięknych, choć niedość zręcznie wypowiedzianych myśli. Wiersz wstępny: Do muzy, w którym autor daje swéj muzie następne epitety: miła, droga, mała (sic), korna, cicha, blada i łzawa, — nazywa ją to cichém dziecięciem, to biedną dziewicą, — usposabia czytelnika u wstępu niekorzystnie dla autora — natomiast sonet (str. 39) składający się z dziesięciu strof, należy do udatniejszych. Kto wie, jaką rzadkością są w literaturze powszechnéj artystycznie wykończone sonety, jakie trudności przedstawia zwięzła ich forma, ten pojmie, że p. S. nie mógł zwycięzko przełamać wszystkich przeszkód, gdyż na to potrzeba takiego genjuszu, jak Petrarki lub Mickiewicza. Mimo to sonet p. S. nie jest bez zalet. Poeta daje swoim zwyczajem naprzód sielankowy obrazek okolicy, a następnie wspaniałego domu swéj bogini, co „między bluszczu smętnego ukryty pierścienie.“ Przysionka domu strzeże szereg kolumn greckich, nad gmachem wznoszą się dwie półkuliste wieże. Mieszkanka tego domu, szukając w nim schronienia z daleka od świata, owocami swego gustu i wiedzy zdobi przepyszne mieszkanie. Więc stawia w niém posągi greckich mędrców i poetów: Hezjoda, Homera, Platona, Sokrata, Sofokla, Eurypida, Eschyla — daléj sceny z mitologji i dziejów staréj Hellady, dzieła sztuki i t. d. Kończy sonet apoteoza téjże kobiéty, co „wszystkie promienie piękna w jeden punkt zebrała, a któréj duszą jest muzyka i poezja żywa.“

Myśl do sonetu wziął autor zapewne z pięknego poematu Mickiewicza p. t.: Na pokój grecki w domu księżnéj Wołkońskiéj. Jak wiadomo, oprowadzała poetę młoda ks. Zeneida po swych pełnych starożytności pokojach, a on podziwiając smak i piękność przewodniczki, uczcił ją poematem.

Przekłady, choć nie oddają siły i kolorytu oryginału, odznaczają się jednak starannością i wiernością. Szczęśliwie przetłomaczona jest Jazda lwa (Freiligratha) i Klątwa wieszcza (Uhlanda) — słabiéj nierównie Mignon i Hormusan.

* * *

O Próbkach pana Leśniewskiego nie wiem, coby można dobrego powiedzieć. Możeby lepiéj było wcale o nich nie wspominać, gdy jednak autor upomina się o ich ocenienie, a obowiązkiem recenzenta jest zarówno cenne jak poronione płody brać pod skalpel krytyki, przeto acz z niechęcią, powiemy i o nich słów kilka. Sam p. L. ocenił wybornie swe utwory na tytule — należało je w istocie jako próbki, podobne do wielu pisywanych na szkolnéj ławce przez studentów, wierszowanych elukubracji, ukryć w głębi teki, zamiast puszczać na widok publiczny. Tak pod względem treści jak formy stoją one niżéj krytyki — niektóre jak Klasztor, W bibljotece, i Łowy Cezara, budzą wstręt — jeden tylko wierszyk p. t. Wiosna i drugi Emigracja przynajmniéj nie rażą zwykłemi cudactwami treści i języka. Dla dania czytelnikowi wyobrażenia o wartości Próbek, przytoczymy pierwszy lepszy ustęp:

Szlak mantyli aksamitny,
Najpyszniejsza w świecie noga,
Jędrna (sic) kibić, giest wybitny,
Szyk hiszpański, dusza sroga
Héj do kata!
Tyś manolo, warta świata.
Płonie, chrzęści, gdy tańcuje,
Jaki zapał w każdym kroku! i t. d.

albo:

Pierwszéj miłości nigdy się nie zapomina,
Miałem i ja anioła — dał mi się we znaki,
Bo prawdę mówiąc, był to anioł ladajaki,
Zarozumiała, próżna, swawolna dziewczyna.

albo:

Woléj dla udręczeń
Wyrzec się radości,
Niż nie znać miłości.

Gdzieś bowiem kochany,
Tam i śmierć jest miła,
Lecz kto zaniedbany,
Ten już pogrzebany.

Woléj znosić siła
Cierpień i żałości,
Niż nie znać miłości.

Bez kochania życie
Jest tylko czczą marą,
I lepsze, niż życie,
Jest jego użycie.

Wyrażenia podobne, jak:

— Otóż z tobą coś podobnego się stanie (str. 10).
— Ot naprzykład moja chata)
— Albo weźmy moją żonę) (str. 12).
— Znowu dajmy moje dzieci...)

[1]) Prologue to the satires v. 340.
[2]) De arte poëtica, v. 16.
[3]) Str. 42. [4]) Str. 58. [5]) Str. 79.

— Nie bądź kapryśnym, jak zepsute dzieci,)
Co wolą cherlać (!) niż przyjmować leki) (str. 29).

— Czy pan jaki na pożytek)
Duszy swéj pełnemi wory)
Zechce mnichom się uśmiechnąć?) (str. 87).
O wysłuchaj próśb pokory,)
Bo wypadnie z głodu zdechnąć! —)

dają najlepsze świadectwo o poetyckiém uzdolnieniu pana L. Zresztą sam autor czuje swą niemoc, żałuje, że się uczył i przeklina książki, z których tak małe zebrał plony, jak niniejsze Próbki:

Jeszcze raz, księgi, na was ja przekleństwo rzucam,
Ach, wszakże to jedyna siła, którą błyskam;
Więc będę was przeklinał aż do chwili zgonu,
Bo znowu pytam was, jakiego to ja plonu
Od mozolnego doczekałem się ślęczenia?...

Do Próbek pisanych wierszem, wcielił także autor sześciostronny urywek prozą, p. n. Powrót z wesela. Jeżeli język dość gładki i potoczysty, opowiadanie żywe, stawiają ten ustęp wyżéj od wszystkich wierszy autora, to nienaturalność i nieprawdopodobieństwo czynią go fantasmagorją bez celu i sensu. Grono biesiadników, z kobiét i mężczyzn złożone, przejeżdża w powrocie z wesela od szambelana, brzegiem jeziora pokrytego śniegiem. Bez poprzedniéj umowy wołają wszyscy jednocześnie na woźnicę, by stanął, i biegną na jezioro. Chodzą po niém, biorą do rąk bryłki śniegu i uśmiechają się... Jeden z kawalerów, słynny na cały powiat muzyk, zaczyna grać — podróżni mimo, że na weselu przez trzy dni tańczyli, rozpoczynają hulankę na lodzie. Wtém skrzypek urwał nagle i szybciéj przebiegłszy smyczkiem struny, zagrał pełną smętności i ognia melodję — i wszyscy się głęboko zamyślili, nie zważając, ża to noc lutowa... Marzyły im się różne piękne rzeczy — dwoje kochanków zapomniało się nawet, i w obecności całego towarzystwa zetknęły się ich usta przeciągłym pocałunkiem. Głośny całus nikogo nie zdziwił, nie przeraził... Nareszcie przeziębnięty muzyk przestał grać, i wszyscy wsiedli do powozu. — I otóż koniec dziwadła — tylko że wedle epilogu zupełnie inaczéj działo się w życiu, niż w słodkiéj zadumie na szybie jeziora...

Przyznać trzeba, że taniec w takim czasie i miejscu siedmiorga ludzi, co znużeni trzydniowemi gody wracają do domu na spoczynek — bardzo jest oryginalnym; oryginalniéj byłoby jeszcze, gdyby im się był autor kazał wykąpać w jeziorze... K. K.

PAN GAJESKI.

Gawęda szlachecka

przez

K. S. Bodzantowicza.

Około roku 1815 mieszkał na Wołyniu, w dobrach pana Giżyckiego pułkownika, szlachcic zagrodowy nazwiskiem Gajeski. — Letni to był człowiek, bo ósmy krzyżyk już kończył; niepoczesna figura, bo niskiego wzrostu, szczupły, twarz wywiędła, zmarszczkami poorana, wąs i czupryna białe zupełnie. W obejściu ze wszystkimi nadzwyczaj potulny, z wyższymi uniżony, do tego drobiazgowy jak po większéj części starzy kawalerowie, bo p. Gajeski nigdy żony nie miał. — Pobożny do fanatyzmu, wierzył w czary, gusla, i w znachorów, historję i parantellę wszystkich znakomitych rodzin w Koronie i Litwie na palcach znał, opowiadał dziwne dykteryjki z dawnych czasów; mnóstwo wierszyków in graciam chrzcin, zaślubin lub imienin na pamięć umiał, przy żadném nazwisku nie opuścił nigdy tytułu: przy urzędzie ziemskim wielmożny, przy koronnym lub senatorji jaśnie wielmożny dodawał, całe zaś opowiadanie nosiło na sobie cechę takiego dworactwa, takiéj uniżoności dla wysokich dygnitarzy, których zaznał, że kto go pierwszy raz widział i słyszał opowiadającego, wziął go niewątpliwie za jakiegoś expokojowca, szatnego, lub rękodajnego możnego pana.

Inaczéj przecież było; zaledwie wyszedł ze szkół, zaciągnął on się do milicji księcia Jabłonowskiego, wojewody wołyńskiego, przeszedł potém do kawalerji narodowéj, gdzie jako szlachcic był towarzyszem. — A że u nas przez grzeczność awansują zwykle dymisjonowanych wojskowych, przeto i pana Gajeskiego wszyscy namiestnikiem zwali. Służył tedy lat kilkanaście w kawalerji, stał na krésach, gdzie w niejednéj był potrzebie, a kiedy rozwiązano kawalerję narodową, wrócił on na Wołyń, gdzie miał cząstkę we wsi pułkownika Giżyckiego, którą jak każdą prawie szlachecczyznę, od nazwiska właściciela Gajesczyzną zwano. — Przybywszy tam, szablę i ładownicę zawiesił nad obrazkiem Matki Boskiéj Poczajowskiéj, schował starannie mundur wysłużony, przywdział dreliszkową kapotę i szarawary i sam za pługiem orał ziemię ojców, co go żywiła. — Ile razy jednak przyszło święto większe, albo kiedy szedł do pana pułkownika, wtedy nadziewał kontusz granatowy z czerwonemi rabatami, opasywał pasem słuckim cienką swoją figurę, i z szablą u boku a rogatywką na prawym uchu, szedł do dworu. — Pan Pułkownik bardzo lubił starego kawalerzystę narodowego, cenił w nim i zasługę i wiek podeszły, i tę delikatność w obejściu, która była cechą charakteru Gajeskiego.

To téż nie tylko w każdéj biedzie był mu chętnie pomocnym, ale uprzedzał jego żądania, wywiadywał się o potrzebach; a ile razy jakie niepowodzenie gospodarskie dotknęło starego, to zawsze szczodra ręka pułkownika gotową była z pomocą.

Wszyscy oficjaliści i słudzy pana Giżyckiego znając usposobienie pana dla starego kawalerzysty, uprzedzali jego chęci, starali się mu być użytecznymi, a on nietylko nie nadużywał wpływu swego, ale nadzwyczajną grzecznością umiał wypłacać się za te dobre dla niego chęci. — Raz tylko wyszli oni względem niego z téj drogi, a to w następującym wypadku!

Pan Giżycki miał krewnego, z którym oprócz związków krwi, łączył go stosunek przyjaźni i koleżeństwa. — Po długoletniém niewidzeniu przybył on w końcu do p. Giżyckiego, a ten uradowany z odwiedzin, sprosił sąsiadów, żeby wraz z nimi uczcić miłego gościa, i jak to bywa w gościnnym, a do tego kawalerskim domu, suty obiad, przy nim gęste zdrowia, wprowadziły w dobry humor wszystkich; sami téż wołali o wino, i chociaż skończył się obiad, stary węgrzyn krążył w gronie biesiadników.

Pan Giżycki uradowany dobrym humorem gości, cały zajęty obowiązkami gospodarza, wglądającego we wszystko, co mogło gościom uprzyjemnić zabawę, nagle niemiłego doznał uczucia, bo usłyszał w przedpokoju jakiś hałas, niezgodny z przyzwoitością, jakiéj w domu swoim był bardzo surowym przestrzegaczem. Wyszedł téż do przedpokoju, i ujrzał pana Gajeskiego który chciał wejść do bawialni, słudzy zaś wzbraniali mu wejścia.

— Co to takiego? — spytał już nie kontent pułkownik.

— Oto jaśnie panie my tu powiadamy panu Gajeskiemu, że widzieć się teraz z jaśnie panem nie można, a on na to nic nie zważa, i taki się ciśnie.

— Ja mały tylko interesik mam, — rzekł bardzo pokornie Gajeski — i chwilkę tylko chcę pomówić z jaśnie wielmożnym panem.

— Ależ ja nie mam czasu teraz, — rzekł dość cierpko pułkownik, — inną razą pomówię z jegomością.

Gajeski znowu uniżenie odrzekł:

— Ale ja tylko na chwileczkę proszę o cierpliwość.

— Ani chwili nie mam dziś dla kogo innego, tylko dla moich gości, — a kiedy stary jeszcze nastawać zaczął, wtedy rozgniewany pułkownik:

— Cóż to, napaść jakaś widzę — wykrzyknął — precz mi z tym szlachcicem, — i zatrzasnąwszy drzwi wyszedł, a służba zbyt skwapliwa w wypełnieniu rozkazów pańskich, wypchnęła za drzwi starego.

Krótkiéj nieobecności p. Giżyckiego nie uważali nawet goście a kiedy wrócił, wzniósł zdrowie któregoś z obecnych, za nim poszły inne, i wkrótce zapomniał zupełnie o małém zajściu z Gajeskim.

W godzinę może, usłyszał on pukanie do otwartego okna; postąpił więc ku niemu i ujrzał małego chłopczynę wspinającego się na palcach; wyciągał on rękę w któréj list trzymał.

Pan Giżycki wziął go, a kiedy czytał, zachmurzyła się twarz jego, jakieś dziwne uczucie jakby żalu malowało się na niéj, a gdy skończył, opuścił głowę i zamyślił się.

Był to list od Gajeskiego następującéj treści:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Nie dla mizernéj mojéj persony, ale dla honoru munduru który noszę, a który skrzywdzony został przez ludzi pańskich, muszę chociaż z bólem serca żądać od jaśnie wielmożnego pana natychmiastowéj satysfakcji. — Czekać będę pod lasem koło młyna. — Racz j. w. pan nie brać z sobą dużéj asystencji, bo ja będę sam z chłopakiem oddawcą tego listu. Humilissimus servus.

Tomasz Gajeski.

Chwilę zadumany stał pułkownik a potém odwracając się do gości swoich:

— Panowie łaskawi — rzekł — interes ważny, nie cierpiący zwłoki, zmusza mnie oddalić się na jaką godzinę, raczcie więc panowie mieć mnie za wytłomaczonego i darować tę chwilową nieobecność.

Wszyscy spojrzeli na p. Giżyckiego, nie pomału zdumieni tą wiadomością, ale żaden mu zapytań nie stawiał, a on pożegnawszy ich, wyszedł spiesznie. — Po chwili kozak ulubiony pułkownika prowadził przed tylne wyjście z domu konia osiodłanego, drugiego dla siebie, a kiedy wyszedł p. Giżycki i dosiadał wierzchowca, kozak zdziwił się widząc, że pułkownik miał szablę u boku.

Ruszyli przez wieś a kiedy z niéj wyjeżdżali ujrzeli przed sobą lasek olszowy, niedaleko niego młynek; na polu grusza stara, pod nią rozciągnięty spał chłopak, oddawca listu p. Gajeskiego. Koło gruszy stał wyprzężony wózek, szkapa się pasła na polu, a na wózku siedział stary wiarus, ręce splótł na kolanach i śpiewał godzinki. — Skoro ujrzał zbliżającego się pułkownika zlazł z wózka, szedł wolno na jego spotkanie, z pokorną miną, a kiedy ten zsiadł z konia, to stary zdjął czapkę, a pułkownik ukłoniwszy mu się:

— Mości Gajeski — rzekł — stawiam się na twoje wezwanie, i trącił po rękojeści szabli, a stary skłonił mu się w kolana. Odebrałem list twój — mówił daléj pułkownik, — znajduję że słuszny masz powód urazy do mnie, przybyłem więc przeprosić cię za moją żywość, a żem cię obraził publicznie, proszę z sobą, i w obec świadków powtórzę com tu téj chwili powiedział; a stary kłaniając się pułkownikowi, odrzekł:

— Już ja to w liście moim wyraziłem j. w. panu, że tu nie chodzi o mizerną moją personę, ale o honor munduru który noszę, dla mnie zanadto tego coś j. w. pan w dobroci swojéj wyrazić raczył, ale plamy z tych kolorów słowa nie zmażą, a więc j. w. panie inaczéj być niemoże, ja muszę mieć choć kroplę krwi j. w. pana.

— Mojéj krwi — zawołał marszcząc brwi pułkownik, — a gdzież to napisane że w tym spotkaniu moja krew ma popłynąć, to za wiele zarozumiałości mój panie, ale mniejsza o to, ja robię co mi sumienie nakazuje, i zwracam uwagę, że jesteś stary, siły stérane w wojaczce i pracy; a ja człowiek pełen siły, wiesz dobrze że nie pierwszy raz będę miał szablę w ręku, a więc nie równa szansa, zastanów się panie Gajeski.

— Prawda! — odrzekł kiwając głową Gajeski — święta prawda! żem stary, stérany, nikczemna persona, ależ trzeba było j. w. panie wpiérw o tém pomyśleć, nim mnie słudzy pańscy za drzwi wypchnęli; teraz już zapóźno, muszę sobie radzić jak można... a żem szlachcic jak drugi — rzekł prostując się, — a krew nie woda, to z pomocą Boską poprobujem się j. w. panie.

— Ha! to już nie moja będzie wina — odrzekł pułkownik, — niechże krew jegomości na niego spadnie.

— Krew nie plami — rzekł Gajeski — ale zmywa plamy, służę j. w. panu! — i odwróciwszy się podszedł do wózka, wyjął karabelę, wyciągnął z pochwy, a przypatrując się klindze, mówił wolno: pordzewiałaś niebogo, dawnoś świata nie widziała, trzeba cię wytrzeć, bo to mówią, że rdza krwi szkodzi, — i wyjąwszy garść słomy, tarł nią szablisko.

Pan Giżycki tą pewnością przeciwnika zniecierpliwiony, zawołał z żywością:

— Tylko bez tych przechwałek mosanie, kiedy ci pilno, to służę.

— Ale zgoda j. w. panie — odrzekł Gajeski; — przeżegnał się, czapkę nacisnął na głowę i szablę nastawił do oczu przeciwnika.

Pułkownik pewny, że w kilku cięciach wytrąci broń starcowi, natarł na niego; ale ten stał nieporuszony, i każde cięcie pułkownika odbijał z przytomnością i siłą niesłychaną. O ileż jeszcze większe było zdziwienie pana Giżyckiego, kiedy Gajeski miasto odpiérać ciosy, natarł na niego tak silnie, że cofać się począł. — Jak błyskawica migała karabela starego, jak grad padały cięcia, a pułkownik odurzony cofał się ciągle, kiedy na raz przeciwnik odbił mu szablę, a skoro uszła na bok, chwycił go za rękę.

— Stój j. w. pan! — zawołał — tu p o g r ó d k i*) — dodał wskazując szablą, — j. w. pan mógłbyś szwankować, a ja na zdrowie pańskie nie godzę.

Obejrzał się Giżycki i widział, że stoi nad samemi cembrowinami pogródek, w które byłby wpadł nieochybnie, gdyby go nie powstrzymała ręka starego namiestnika.

— Wrócimy się j. w. panie — rzekł on wskazując w inną stronę, a p. Giżycki zdziwiony, słowa nie wyrzekłszy, szedł za nim. — I znowu się złożyli; Gajeski jak wprzódy parł cofającego się przeciwnika, potém odbił mu szablę:

— Płot j. w. panie! — zawołał — mógłby j. w. pan szwankować, a ja na zdrowie pańskie nie dybię; wróćmy się — dodał, — a widząc pułkownika zmęczonego tą walką poszedł do wózka, wyjął opończę, rozesłał ją na ziemi i wskazując na nią:

— Spocznij sobie j. w. pan — mówił — mnie nie pilno.

Nie mógł Giżycki dłużéj znieść téj sceny obrażającéj jego miłość własną, to też z niecierpliwością zawołał:

---

*) Rowy, któremi woda na koła młyńskie płynie. L i n d e.

— Skończmy raz tę komedję!...

— A to skończmy kiedy wola — odrzekł Gajeski, — nacisnął czapkę, złożył się kilka razy z pułkownikiem, potém odbił szablę:

— Będzie już j. w. panie! — zawołał — i wskazał końcem pałasza na rękę p. Giżyckiego: było na niéj lekkie cięcie, z którego krew zwolna ściekała.

— Ależ daruj j. w. pan — mówił stary zdejmując czapkę — że chociaż z bólem serca musiałem zrobić, co mi honor nakazywał.

A Giżycki wyciągnął ramiona do niego:

— Chodź, niech cię uściskam!... w życiu nie spotkałem takiego gracza, dałeś mi nauczkę, którą jako od starszego i wiekiem i zasługą chętnie przyjmuję.

No! kiedyżeś mnie obciał, to pewnie nieodmówisz proźbie mojéj.

— Jestem na rozkazy j. w. pana — odrzekł Gajeski.

— Jedźże ze mną do dworu, tak dzielnego rębacza pewien jestem że radzi będą poznać goście moi.

Wymawiał się p. Gajeski długo, w końcu jednak na usilne prośby pułkownika chłopak uprzągł szkapę do wózka, w który wsiadł stary a p. Giżycki z ręką obwiązaną jechał obok.

Kiedy wjechali na dziedziniec, całe grono biesiadników wyszło na ich spotkanie, Giżycki opowiedział im zajście swoje z panem Gajeskim i zadosyć uczynienie; nie mogli oni ukryć podziwienia swego, a że to byli ludzie z tych dawnych pokoleń, co na ostrzu szabli roznieśli po świecie sławę imienia polskiego, co mieli i odwagę i wprawę rycerską, to też okrzykiem przyjęli starego narodowca, a potém na rękach wnieśli go do pokoi gdzie liczne kielichy spełniono na cześć jego.

I odtąd mało komu znany starzec, stał się ulubieńcem całéj okolicy. — Każden rad mieć go w domu swoim, zapraszał do siebie, i zmieniło się zupełnie jego położenie. — Pan Giżycki widząc że wydalanie się częste z domu nie dozwala mu zajmować się gospodarstwem, nabył cząstkę jego za którą sowicie zapłacił, zostawując mu dożywocie na niéj; ktoś z sąsiadów wziął do siebie sumkę wartość cząstki przedstawiającą na dosyć wysoki procent; tym sposobem podwoiły się dochody starca, a na wydaleniu się jego nic gospodarstwo nie cierpiało, bo Giżycki myślał o nim, i kiedy około żniw na dłuższy czas osiadał p. Gajeski na kawałku swoim, z pociechą patrzał na bujne zboża, na ładny inwentarz i starannie utrzymane budynki.

I żył jeszcze starzec po tém zajściu lat z dziesięć, otoczony szacunkiem ogólnym, bo wszyscy widzieli w nim przedstawiciela téj jedynéj w historji naszéj epoki, w któréj wszystkie stany ożywiała jedna myśl szczytna wywalczenia niepodległości — a dowodzili oni jéj czynami, skrapiając krwią swoją pola Racławic, Szczekocin i Maciejowic. —

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dalszy ciąg).

Może po godzinnym wypoczynku opuściliśmy Bastei, bo było już po południu, a tu jeszcze kawał drogi mieliśmy dzisiaj przed sobą. Wygodna acz spadzista ścieżka sprowadziła nas do wązkiéj doliny Amselgrund, racéj wąwozu ścieśnionego szczelnie skałami. A ponieważ dochodziły one dość znacznéj wysokości i przytém świerkami gęsto były porosłe, przeto wąwóz ten dość ciemno wyglądając, ponure czynił wrażenie. Niestety i tu brakowało potoku, coby życia dodawał naturze! Szeleściało tam wprawdzie coś w jarze przy ścieżce, którąśmy zwolna pod górę postępowali — ale to ani było warte uwagi.

— Czy nie słyszysz — rzekłem do Tadeusza — jak oto potok gwałtowny huczy wściekle po głazach!... a nawet pono wodospad ma tu być w bliskości, jak zapewnia Baedeker.

— Sądząc po ilości wody — odrzekł zgryźliwie — już sobie naprzód wystawiam jaki to będzie wodospad — i wzdrygnął ramionami litośnie.

W kilka minut stanęliśmy przed nim, to jest przed wodospadem. Ale o zgrozo!... jakżeż nadzieje nasze zawiedzione zostały!... Wystaw sobie czytelniku parę kamieni zaledwie na kilka stóp wzniesionych, po których ciekło kroplami kilka nitek wody, a będziesz miał wyobrażenie o tym... wodospadzie!... Za naszém przybyciem wynurzył się zaraz z budy naprzeciw wodospadu postawionéj Niemiec jakiś tłusty (snać ma tu niezły dochód), a podbiegłszy raźno do drążka podnoszącego umieszczone nad wodospadem stawidło, zapytał usłużnie:

— Czy Panowie będą łaskawi zobaczyć wodospad?

— A toć go przecie widzimy wygodnie — rzekł spluwając Tadeusz.

— Tak... ale wzmocniony?

— Mamy już tego aż nadto — odpowiedziałem — i podążyłem za Tadeuszem, który już naprzód uciekł od téj ironji wodospadu.

Zdziwił się Sas nad obojętnością naszą i długo patrzał za nami z wyrzutem, że go minął Trinkgeld. Po kilku wschodach weszliśmy na wysokość wodospadu, gdzie ujrzeliśmy małą kałużę zielonéj wody, jakby to było miejsce pobytu gęsi i kaczek i tu obejrzeliśmy ów staw, od którego zależy cała piękność téj saskiéj kaskady. Zgorszeni do żywego szliśmy daléj wąwozem, który w miarę jak się w górę podnosił tracił na wysokości swych ścian, aż w wiosce Rathenwalde całkiém się w płaszczyźnie roztopił.

Od Bastei leżącéj nad Elbą szliśmy dotąd w kierunku północnym. Ponieważ zaś teraz wyszliśmy na płaskie pola, więc trzeba nam skręcić pod kątem prostym na wschód do sąsiedniéj doliny Polenz, by nią w kierunku południowym wrócić znowu nad Elbę do Schandau na nocleg. Wypadało nam tedy począwszy od Bastei aż do Schandau zrobić drogę mniéj więcéj w kształcie przewróconéj litery ∩.

Spuściliśmy się więc do doliny Polenz. Mówiąc prawdę — zbłądziliśmy, bo wedle Baedekera, trzeba nam ją było tylko przejść w poprzek do miasteczka Hohnstein na przeciwnym jéj brzegu leżącego. Wszakże błędu tego nie żałowaliśmy: dolina Polenz bowiem tak nam się podobała, żeśmy jak na dziś nic ładniejszego sobie nie życzyli. Paleni spiekotą czerwcową na owym płaskim grzbiecie rozgraniczającym obydwie doliny nader miłego doznaliśmy uczucia, gdy nas szerokie cienie téjże doliny przed żarem słońca zasłoniły. A jakże tam nie miało być cienia, gdy z obudwu jéj stron wznoszą się olbrzymie ściany skaliste na kilkaset stóp wysokie, zadziwiającéj piękności! Sama

zaś dolina szeroka na mniéj więcéj półtorasta kroków — miejscami szersza lub węższa — długa może z milę (rachując od Hohnstein do Elby) ozdobiona była dołem prześliczną łąką. A że to był dopiéro początek czerwca, więc trawa znajdowała się w najświetniejszéj epoce rozwoju. Po bokach doliny stały szeregi świerków przyciskając się do skalistych ścian, by bogatéj łące jak najmniéj miejsca zabierać. Z tego też pewnie względu wiele z nich pięło się po ścianach i wciskało się w różne szczeliny skał trzymając się jak mogły przebiegłemi korzeniami samolubnych głazów. Jakże im pięknie było na tych urwistych opokach, jakże lekko i zręcznie umiały zachować wrodzoną wysmukłość na tém arcytrudném stanowisku! Główna zaś armja tych drzew rozłożyła się górą na płaskich i bezpiecznych grzbietach. Droga wiodła nas tuż przy zachodniéj ścianie, więc ustawicznie w pożądanym cieniu. Nadto mieliśmy tutaj to, czegośmy dotąd tak mocno pragnęli, to jest strumień dosyć obfity. A choć nam ani nie mruczał, ani tém mniéj nie szumiał — bo zbyt nieznaczna pochyłość doliny nie pozwalała mu rozwinąć tych poetyckich przymiotów — wszakże sama już obecność jego była nam bardzo miłą. Woda, tocząca się po grubym żwirze ukazywała nam w swém przezroczu niezliczone roje rybek wesoło igrających.

Przyznać trzeba, że ta dolina Polenz jest bardzo miła i piękna. Wysokie jéj ściany zachodnie grube cienie rzucały, wschodnie zaś oświecone jak najkorzystniéj, jaśniały całym blaskiem swych kształtów, wyniosłości i piękna. Więc nie dziw, że nas zaraz na wstępie ogarnęła dla niéj sympatja, tém większa, żeśmy się takiego rajskiego ustronia bynajmniéj nie spodziewali. Mimowoli wciskała się do serca brzydka zazdrość, że Saska Szwajcarja ma takie cacko. Dziwiło mnie też nie mało, że Baedeker zamiast prowadzić turystów dołem téj doliny, każe im iść górą po wschodnim jéj boku pozbawiając ich przeto daleko większéj przyjemności. Snać woli ich raczéj straszyć przepaściami, niż napawać słodyczą téj uroczéj doliny.

W błogiém i szczęśliwém usposobieniu postępowaliśmy wolno pochłaniając wzrokiem przecudne opoczystych ścian kształty. Wyszedłszy za jedno zagięcie doliny, ujrzeliśmy o kilkadziesiąt kroków przed nami nad dróżką siedzącą jakąś artystkę młodą zajętą rysowaniem.

— A to tu prawdziwie romantyczna dolina! — rzekł przystawając Tadeusz. — Co za szkoda żem nie zabrał ze sobą papiéru i ołówka!... jaki to śliczny byłby obrazek! Uważ jeno: Z obydwu boków owe potężne prostopadłe skaliste ściany najeżone z rzadka świerkami; prawa ciemno się rysująca, lewa mocno oświecona: to byłyby ramy. Środkiem łączka kwiecista i wijący się strumyk przezroczysty, nad jego brzegiem kręta drożyna: to nieznaczne przejście z pierwszego do drugiego planu, na którym w dali mostek i młyn. Za tém jako plan trzeci widać jak dolina ku wschodowi się łamie, a z nią i drożka się skręca i znika wśród świerków. A tę artystkę siedzącą nade dróżką i opartą o skałę przedstawiłbym w téj chwili jak przykładając ołówek do ust na pół otwartych, patrzy podniesionemi oczy w lubym zachwycie na owe malownicze skały. Na pierwszym zaś planie umieściłbym w cieniu świerków przydrożnych nas obudwu, jakeśmy po raz pierwszy ją ujrzawszy przystanęli cicho, by nie przeszkadzać i podziwiać zarazem.

— Prawda, że piękny byłby obrazek! — odrzekłem. — Czemużeś nie usłuchał méj rady, gdym cię namawiał do zabrania papiéru!... Mówiłeś pogardliwie, że nie będzie w Saskiéj Szwajcarji przedmiotów godnych twéj ręki — ot! słusznieś ukarany! Lecz chodźmy już zobaczysz z bliska piękną nieznajomą pokrewną ci talentem.

Uszedłszy nieco daléj poznaliśmy, że artystka nasza to jakaś młodziutka sobie panienka może w 14 lub 15 roku. Za zbliżeniem się naszém przytuliła trwożliwie, zapłoniona swój album do piersi, a patrząc na nas błagalnie dużemi czarnemi oczyma czekała, aż przejdziemy. Nie pozostawało nam nic innego, jak uczciwszy talent ukłonem iść sobie z Panem Bogiem daléj.

Dolina się znowu skręcała pod kątem prostym ukazując nam też same właściwości, tenże sam charakter co dawniéj: ztąd na każdym zakręcie — a było ich kilka — przedstawiały się nam zawsze też same obrazy i widoki. A więc: ustawicznie też same prostopadłe ściany z obudwu stron, taż sama łąka bez końca, tenże sam strumień cichutki, spokojny, bojący się najmniejszego wybryku. Raz tylko wpadłszy pod koła młyńskie narobił ze strachu nieco chałasu, ale też za to potém jeszcze potulniejszym się zrobił. Świerki także nie odważyły się nigdzie wysunąć daléj na łąkę, by choć na chwilę przerwać jéj jednostajność. Również i skały tworząc na całéj długości doliny jednolitą ścian massę, ni razu nie pokusiły się cokolwiek poswawolić fantazją. Napróżnośmy przy każdém następném zagięciu wyczekiwali czegoś nowego — wszędzie widać stałe trzymanie się przyjętego od początku programu!... To też nie dziw, że uczucie zazdrości, które na wstępie do téj pięknéj w swoim rodzaju doliny nas ogarnęło, zaczęło z każdym krokiem słabnąć: w końcu ustąpiło zupełnie. Ach, jakże nieskończenie wyżéj od niéj stoi Kościeliska dolina!... Porównywając je ze sobą w myśli, przypomniały mi się owe dwie kobiéty z jakiéjś powieści, jeśli się nie mylę „Po ślubie“ Zacharjasiewicza. Obiedwie cię zaraz po pierwszém ich poznaniu ujmują i pociągają ku sobie pięknością ciała i przymiotami duszy. Obie silne na tobie uczyniły wrażenie nie w tym jednakże stopniu, iżbyś nie miał wiedzieć, któréj nadać pierwszeństwo. Owszem jedna z nich olśniła cię odrazu uderzającym wdziękiem postaci i potęgą duszy; druga mniéj piękna na pozór, mniéj się wynurzająca na zewnątrz, zwłaszcza na początku zawartéj znajomości — mniéj też zajęła twoją uwagę. Tak było za pierwszém widzeniem. Ale po dłuższém z niemi obcowaniu i dłuższych rozmowach dekoracja zaczyna się zmieniać. Poznajesz, że ta co cię tak oczarowała pięknością, jest tylko pięknie pozującą aktorką, która wiedząc w jakiém świetle i ułożeniu najlepiéj się światu przedstawia, taką ci też zawsze stara się sztucznie ukazywać. Jéj wzniosłe i gorące słowa, które tak głęboko cię poruszyły — pokazuje się, że to są tylko oklepane i naprzód obmyślane frazesy. Napróżno sięgasz konsekwentnemi pytaniami do głębin jéj duszy — pokazuje się, że po wylaniu kilku efektownych zdań, próżnia tam i ubóstwo straszliwe! Mówi wprawdzie ciągle czyli raczéj szczebiocze bez przerwy, ale niestety! zawsze te same powtarza frazesy w innych tylko słowach i formie. — O jakże inną ukazuje ci się druga! Mniéj piękną wydawała ci się na wstępie, ale teraz przekonujesz się, że to nie ona była temu winna, lecz tyś nie dojrzał Może w złém świetle ją po raz pierwszy ujrzałeś. Teraz dopiéro przetarłszy oczy widzisz zdumiony, że rysy jéj twarzy dziwnie są klasycznych rozmiarów, nie posągowéj martwoty jak u pierwszéj, ale ożywione odbiciem jéj pięknéj duszy, ukształconego umysłu i szlachetnego serca. Nie sili się na efekt, bowiem poczucie własnéj wartości mówi jéj, że żadnych sztuczek by się podobać nie potrzebuje, że dosyć ma skarbów prawdziwych, by się miała dopiéro uciekać do szklannych brylantów. To też co chwilę z nowéj ją strony poznajesz, co chwilę nowe odkrywasz piękności i wdzięki. Cóż dopiéro gdy mówisz z nią dłużéj! Zaledwie pojąć zdołasz zdumiony, jak wielkie skarby ducha są w niéj złożone. Co dzień nowy w niéj przymiot odkrywasz, nową dostrzegasz

iskrę rozumnych myśli, nowy dowód wykształcenia, nową chlubną serca zaletę. Więc dziwiąc się temu, mimowoli zadajesz sobie pytanie, jak się to stać mogło, że owa pierwsza, która się ani równać z tą nie może, przecież na razie tak cię zajęła — i przekonujesz się że tamta, to był tylko sztuczny ogień, który olśnił i odurzył twą fantazję i zmysły, ta zaś jest to potężne słońce, dzieło rąk Bożych, jaśniejące niezrównanym blaskiem piękności, tém świetniejsze im dłużéj na nie patrzysz, mieszczące w sobie niewyczerpane zasoby światła i ożywczego ciepła. — Podobnie się rzecz ma z doliną Polenz i w ogóle z całą Saską Szwajcarją z jednéj, a Kościeliską i Tatrami z drugiéj strony. Owa Pseudo-Szwajcarja wysiliła się także na samym początku na to, aby nas olśnić: więc ukazała nam zaraz na wstępie swój Glanzpunkt t. j. Bastei. To też wrażenie było z początku tak mocne, żeśmy jak odurzeni nie mogli przyjść do siebie, i już nam się zdawało, że w sercu naszém Tatry zepchnięte na drugie miejsce. Ale był to tylko chwilowy szał dla téj kokietki Saksonji. Po bliższéj z nią znajomości zamiast coraz nowych przymiotów i piękności zaczęły się odkrywać niedostatki i wady, a nawet — śmieszności rażące. Oczarowanie wkrótce zniknęło. Również i dolina Polenz: zadziwiła nas na razie uderzającą pięknością, ale cóż? wydało się niedługo, że wszystkie swe zalety — a nie było ich wiele — odrazu stawiwszy na pokaz nie miała następnie czém już podtrzymać uroku. Więc też zamiast potęgować w nas zapał i uwielbienie, budziła jednostajnością swoją mimowolny chłód i obojętność. Za to Kościeliska dolina -- że już nie mówię o reszcie Tatr — zaczęła serca nasze ogarniać coraz więcéj i silniéj swym niezrównanym przepychem i czarownym urokiem. Tu, w téj monotonnéj dolinie mogliśmy najlepiéj ocenić wartość tych niewyczerpanych nowości i genjalnych pomysłów, jakiemi się Kościeliska dolina szczyci. Ona jest tą drugą kobiétą, w któréj co chwila nowe skarby i przymioty zdumiony odkrywasz. Ona tém słońcem, co im wyżéj się wznosi, tém potężniéj jaśnieje i nie znudzi ci się, choć co dzień na nie patrzysz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

Bawiący tu przez dni kilka, chlubnie znany w piśmiennictwie naszém **Hipolit Skimborowicz** zamierza wydać „Historję lóż massońskich w Polsce.“ —

Utworzony we Lwowie Komitet narodowéj wdzięczności dla **Pawła Stalmacha**, niezmordowanego krzewiciela polskości na Górnym Szląsku, ogłosi wkrótce przedpłatę na „Bibljotekę Stalmacha.“ —

W języku rosyjskim wyszła piosnka patrjotyczna p. n. **Straż na morzu Czarném.** —

Wychodzące w Pradze czeskiéj „Kvety“ zamieściły w Nr. 35 portret generała **Dąbrowskiego** Jarosława, który wedle krążących pogłosek nie poległ w walce z Wersalczykami, lecz znajdować się ma w Londynie. — Tygodnik Wielkopolski posiada Dąbrowskiego odczyt o generale Trochu, miany w Paryżu podczas oblężenia téj stolicy przez Niemców.

„Przegląd lwowski“ rozpoczął druk studjum literackiego nad **Lamartinem.**

„Pobojowisko czarnomorskie“ generała rosyjskiego **Fadlejewa Rościsława** przełożył na język niemiecki L. Sembratowicz.

Nakładem Dr. Baranieckiego wyszła **Mappa Polski** w dawnych jéj granicach dla użytku szkół.

Inżynier francuzki **Bazin** zamierza wydostać skarby które r. 1702 na czternastu okrętach hiszpańskich zatonęły w przystani Vigo. —

Nakładem Maurycego Schäfer'a w Lipsku wyszedł pierwszy zeszyt dzieła wojskowego p. n. **Prinzipien der Kriegskunst.** Vollständiges Handbuch der Kriegführung der Gegenwart in ihrem ganzen Umfange in den Lehren der grössten Meister wie v. Clausewitz, Friedrich II, v. Jomini, Erzherzog Karl, v. Moltke, Napoleon, Rüstow, v. Scharnhorst, v. Valentini, v. Willisen, v. Aster, v. Bismark, v. Brandt, v. Decker, v. Griesheim, v. Waldersee, v. Zastrow etc. etc. dargestellt und parallelisirt von V. S. — Mit erläuternden Abbildungen. —

We wszystkich większych miastach Szkocji obchodzono uroczyście stuletnią rocznicę urodzin sławnego powieściopisarza **Walter Scott'a.** —

Franciszek Liszt skomponowawszy niedawno temu wielkie oratorjum „Chrystus“, zamierza ułożyć nowe dzieło, osnute na przedmiocie, wziętym z historji polskiéj. —

Gounod wykończył nową operę p. n. „Polyeucte.“ Ma on, jak donoszą dzienniki, zamieszkać w Londynie, gdzie zajmie miejsce w konserwatorjum muzycznėm. —

Dochodzi nas pogłoska o upadku wychodzącéj we Lwowie **Gazety literackiéj.** —

Antoni Wodziński wydał w Paryżu dziełko p. n. „A la Pologne, — Une voix après la Tempête.“ —

O lwowskim **Rękodzielniku** piszą nam co następuje:

Może nie każdy, śledzący nawet rozwój naszéj literatury wie, że we Lwowie wychodzi, co dwa tygodnie, czasopismo „**Rękodzielnik**“, które podług wszelkiego prawdopodobieństwa jest poświęcone interesom — nakładcy p. Alfreda Młockiego. Tak wnioskuję, bo nawet z odezwy o przedpłatę, wydrukowanéj na czele 11 numeru, nie widać, aby inne jeszcze miało cele.

Ten to Rękodzielnik w interesie p. Alfreda Młockiego traktuje de omnibus et quibusdam aliis rebus gestis non gestisque.

Tyłuł i w części treść wskazują, że Rękodzielnik spekuluje na kieszenie rękodzielników, którym co dwa tygodnie zapewne to przypomina, co w ciągu tego czasu czytali w Dzienniku Polskim, w Gazecie Narodowéj i innych częściéj wychodzących pismach. Redakcja i nakładca trzymają się widocznie zasady: repetitio mater studiorum.

Lecz z miłości chrześciańskiéj i pomnąc na „siódme nie zabijaj“ nie mówiłbym i słowa o szan. Rękodzielniku w nadziei, że się powoli poprawi, obejrzy po fachowéj literaturze innych narodów, jeśli mu brak własnego instynktu i stanie wreszcie na téj pozycji, którąby zająć był powinien od pierwszego numeru

Kiedy jednak zbyt widocznie rządzi się szan. Rękodzielnik rękodziełem taniém a nie produktywném dla publiczności, tłomaczeniem powieści i romansów obcych narodów, chrześciańską miłość na stronę odrzucić trzeba, by Redakcji i Nakładcy powiedzieć gorzką, niemiłą prawdę.

Nam nie godzi się wydawać czasopisma na chybił trafił; każda nasza publikacja powinna mieć jasno wytknięty cel, wybitny charakter i wszelka dążność nasza powinna się skoncentrować w jedném: w narodowości. Nauka, owa córa kosmopolityzmu, wprowadzona do naszych pism, mieć powinna za cel — szerzyć oświatę, zdrowe pojęcia, ożywiać ducha narodu — belletrystyka dla ludu, wyłącznie polskie tło. Tymczasem co znajdujemy w odcinku Rękodzielnika? W nr. 10 jest zakończenie powiastki: „Mała rodzina“, którą „wolno z niemieckiego spolszczył Leszek Sz.“

Nie znam całéj téj powieści, która nie zdaje się być arcydziełem nawet w oryginale; ale zakończenie daje nam doskonałe objaśnienie o sposobie myślenia Rękodzielnika, bo pokazuje ludowi polskiemu, że można rzucić ojczyznę, pojechać do Ameryki, zapomnieć o rodzinie zostawionéj w biedzie w kraju, a dorobiwszy się znacznego nawet majątku, nie myśleć o powrocie. Miłość i emigrowanie jest węzłem intryżki „Małéj rodziny“ i taką strawą karmi Rękodzielnik rękodzielników!

W 11 numerze na samym wstępie jest odezwa do prenumeratorów i jako captatio benevolentiae, początek Matyldy, powieści Aleksandra Dumasa!

Cóż to znaczy? Na co ma służyć powieść czy romans Dumasa naszéj klasie rękodzielniczéj? Jakaż w tych powieściach czy romansach dla naszego rękodzielnika nauka? Czyż się Redakcja nad tém zastanowiła? Czy z namysłem częstuje naszą, mającą się dopiéro utworzyć, średnią klasę tym kielichem rozkoszy, by się zawczasu zaprawiła do słodkiéj trucizny?

Przecież można było spekulację inaczéj urządzić, maskować ją przynajmniéj. Można było rozpocząć pod koniec kwartału polską powieść i tym sposobem zmusić szanownych prenumeratorów do dalszéj prenumeraty. Może tym sposobem byłby wilk syty i koza cała; decorum byłoby uratowane.

Niechże kto pełni obowiązek chrześciańskiéj miłości, gdy widzi takie niechrześciańskie postępowanie, a jeszcze bardziéj taki brak poczucia obowiązku polskiéj prassy w obecném położeniu, kiedy zewsząd obczyzna i bez naszéj pomocy zalać się nas stara. Czyż wolno polskiemu wydawnictwu w czémkolwiek do tego się przyczyniać?!

Żeby jednak szan. pan Alfred Młocki, nakładca Rękodzielnika nie miał pretensji do mnie, i nie mógł mi powiedzieć, że nic łatwiejszego jak mówić, że jest źle, ale trudniéj jest robić dobrze, pozwoli mi wskazać sobie jako wzór dla czasopisma poświęconego — nie samym interesom nakładcy, ale — klasie rękodzielniczéj, niemieckie, w Lipsku wychodzące czasopismo „Industrielle Rundschau", gdzie rzeczywiście rękodzielnik znajdzie zdrową strawę dla siebie. W tém piśmie znajdzie on ruch przemysłu handlu, rozwój rękodzielni, żelaznych kolei, nawet cokolwiek z rolnictwa, które zapewne i Galicję zajmować może, a w nr. 16, który właśnie mam pod ręką, w feletonie, odstraszający obraz społecznych i prawnych stosunków w Stanach Zjednoczonych Północnéj Ameryki. A przecież „Industrielle Rundschau" pisze dla Niemców, dla tego narodu, który dotąd największego kontyngensu dostarczał Ameryce, któremu jeden z jego wzorowych pisarzy, Voss, mógł powiedzieć:

„Vaterland? — Was Vaterland!
Der Topf, der Topf ist Vaterland,
Das Uebrige sind Fratzen!"

Takie czasopismo jak Rękodzielnik mogłoby istotnie błogi wpływ wywierać na stosunki nasze; mogłoby zasiać ziarno dobrobytu i oświaty, gdyby było umiejętnie redagowane. Jakżebyśmy chętnie inne pisali sprawozdanie, gdybyśmy w odcinku Rękodzielnika znaleźli n. p. biografję pierwszego Peele, który z prostego robotnika podniósł się własną pracą do godności baronetta Anglji? Gdybyśmy w tym rękodzielniku spotkali się z życiorysami Shmitów, Fowlerów, Howardów, którzy z prostych robotników lub zwyczajnych majstrów podnieśli się do europejskiéj sławy i nagromadzili przytém najuczciwszym sposobem kolosalne majątki? Gdybyśmy w tak zredagowanym odcinku nawet znaleźli życiorys kowala Borsiga w Berlinie, fundatora największéj tego miasta fabryki, toby nas wcale nie gniewało, bo obok niego mógłby być drukowany bieg życia Stanisława Lilpopa z Warszawy, który także własną pracą dorobił się miljonowéj fortuny.

Przykłady uczą, wskazują drogę, zachęcają do naśladowania. Nazwiska tu wyliczone to nie Stadniccy, co rzucają ojczyznę i urojoną przez powieściopisarza pracą dorabiają się w Ameryce majątku. To są wzory żywe, nie urojone, ich dzieła są widoczne, bo niejedna machina, niejeden fakt historyczny nosi nazwisko tych ludzi! A wszyscy pracowali w własnym kraju i uczciwie żyli!

Jak czasy idylli dla poezji, tak czasy czułéj, pobożnemi okruchami obsypanéj scenerji w powieści znikły bezpowrotnie. Świat wszedł na inne tory; ród ludzki dojrzewa i nie nasyci się już, ani nie rozczuli frazesami, jakiemi pani Stadnicka (w nr. 10) kończy całą powieść „Mała rodzina." Dziś tylko w życiu indywiduów, jak w życiu narodów pozostaje prawdą: Pomóż sam sobie, a Bóg ci dopomoże! Peel, Shmitt, Fowler, Howard, Borsig, Lilpop i stu innych im podobnych sami sobie pomagali i dla tego im Bóg dopomagał. Ich historja to nie romans, to nie powiastka z niemieckiego przetłomaczona, to nie urojenie!

Lecz p. Alfred Młocki nietylko w zagranicznem piśmiennictwie potrzebuje się obejrzeć za wzorami; mógłby wzór także znaleść w krajowém, swojskiém, a takim jest „Przewodnik ekonomiczny", który prócz wszystkich innych zalet jest nierównie tańszy jak Rękodzielnik, bo daje arkusz nieomal jeszcze raz tak wielki niżeli ostatni, co tydzień, za 3 złr. w. a. półrocznie,

Same napisy artykułów zawartych w Przewodniku ekonomicznym pokazują jego wartość, jego znaczenie dla życia realnego. Otóż n. p. nr. 36 zawiera: 1) Towarzystwa przemysłowe; 2) Dwa głosy o reformach we Francji; 3) Wzrost ubezpieczeń na życie; 4) Rozmaite wiadomości (n. p. rumuńskie obligacje, austro-węgierski bank rolniczy, sądy przemysłowe i t. p.); 5) Doniesienia rolnicze, przemysłowe, handlowe.

Jeśli forma, w jaką artykuły Przewodnika przybrano, może nie zupełnie odpowiada stanowisku wykształcenia téj klasy ludności Galicji, na którą spekuluje Rękodzielnik, nie trudno byłoby spopularyzować język, formę zrobić nieco przystępniejszą, dać za tém strawę zdrową i kształcić swych czytelników.

W żadnym jednak razie redaktor i wydawca nie powinni w odcinku rozścielać barłogu cudzéj literatury, by na nim korumpować ducha polskości i moralności swych czytelników.

K.

— W ostatnich dniach sierpnia umarł w Paryżu litograf-artysta **Jan Lewicki**.

— Pod Kielcami odkryto kopalnie **ołowiu i miedzi**.

— **Illustrowane album Rapperswyl** ma zamieszczać prace historyczne, polityczno-socjalne, filozoficzne, literackie, artystyczne, archeologiczne, z nauk przyrodzonych; — rozprawy specjalne i ściśle naukowe powinny zajmować mniéj arkusza druku; rękopisma najdaléj do 15 listopada przesłane być mają pod adresem hr Platera. — Amerykanie zamierzają na miejscu, na którém znajduje się pomnik Rapperswylski, zwołać kongres europejski w rocznicę stuletnią pierwszego podziału Polski, aby rzucić klątwę na tę zbrodnię olbrzymią, — w imieniu prawa, cywilizacji i wolności.

Skrzynka do listów.

Panu A... Ka... w Tarnowie: Wierszyki Jego zamieszczonemi nie będą.

Panu J... D... w Zemlinie: Nadesłanych nam ustępów z znalezionego nad Dunajem listu zużytkować nie możemy; jedyna bowiem w nich zawarta wiadomość, którąby mogła zajmować naszych czytelników, jest wzmianka o Adamówce, osadzie polskiéj w pobliżu Skutari, o któréj autor nader szczupłe i pobieżne tylko podaje szczegóły. — Za przesłane nam wskazówki serdecznie dziękując, polecamy się Jego łaskawéj pamięci.

Dr. J... M... J... w Pesmes: Wysłaliśmy żądane dzieło, które 20 sbr. kosztuje.

Wiarusowi z 31go roku: Nie zgodni jesteśmy z Nim w zapatrywaniu się na „kosztowną Lwowską demonstrację", która wedle nas nie wyłącznie demonstracyjny nosi charakter. Podobne wycieczki mają na celu silniejsze zacieśnienie węzła narodowego braterstwa, rozwinięcie istotnéj sympatji i solidarności, która między znajomymi sobie musi być silniejszą jak między nieznanymi, starcie barwy prowincji z pojedynczych cząstek rozerwanego kraju a natomiast usposobienie go do poczucia jedności w dniu czynu. Że germanizm, dotąd nie związany niczém, rozrzucony na drobne kraiki, kierujący się egoistyczną dewizą — gdzie chléb tam ojczyzna — dziś doszedł do jedności, kto wie czy nie zawdzięcza on tego swym zjazdom odbywanym to pod pozorem muzyki, to nauki jakiéj i t p., które dały mu się poznać wzajemnie i poczuć jednym w obec innych narodów. Jedyném obecnie naszém życzeniem jest, aby pomysł tych zjazdów przeszedł w massy, zwłaszcza téż do ludu, dla którego byłby ogromną przeciw obcym wpływom dźwignią. I dziś już zresztą najliczniejszego kontyngensu z Księstwa dostarczyły małe miasteczka. Mimo téj niezgodności zapatrywań jednak, chętnie umieścilibyśmy pańskie pytanie, gdyby nie to, że dział ten dla braku czynnego udziału publiczności, znieśliśmy zupełnie. — Nadesłanego talara wręczyliśmy Redakcji Dziennika Poznańskiego, która go dołączy do składki w tym celu zarządzonéj.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.